

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Lzy Zbawiciela.

Dwa razy w życiu Zbawiciel świata
Zapłakał łzami rzewnymi:
Płakał nad grobem Łazarza brata
I nad nieszczęściem Swej ziemi.

Cierpiał On wiele na tym tu świecie
Od żydowskiego narodu,
Lecz nigdy w życiu nie płakał przecie,
Choć doznał wiele zawodu.

Będąc sromotnie ukrzyżowany,
Patrząc na smutek Swej Matki biednej,
Nawet i wtenczas, bracie kochany,
Nie wylał Jezus łezki ni jednej.

Lecz nad mogiłą Swego rodaka
Płakał on długo rzewnymi łzami,
A stąd nauka dla nas jest taka,
Iż kochać szczerze braci swych mamy.

Nad Jeruzalem płakał powtórę,
Widząc jej ludu los opłakany,
Powiódł Swych uczniów na świętą górę,
Dola Ojczyzny ciężko stroskany.

Na te lzy wtóre cóż powiesz, bracie?
Czemu Pan Jezus wtedy tak szlochał?
Wszyscy mi jedną odpowiedź dacie:
Bo Jezus szczerze Ojczyznę kochał.

A stąd naukę dał Zbawca świata:
Niech każdy kocha ojczystą ziemię,
Niech kocha każdy brat swego brata,
Niech każdy kocha rodzinne plemię!

Ale są ludzie, co się zaprzali
Ojczyzny swojej i swojej mowy,
A wstyd im podłych oczu nie spali,
I jeszcze dumnie podnoszą głowy.



Dzieje Narodu Polskiego

OKRES IV.

(Ciąg dalszy.)

Bezkrólowie po Zygmuncie Auguście. Henryk Walezy.

Pod koniec życia Zygmunt August zaniedbywał rządów, oddając się rozkoszom. Otaczał się pochlebami, którzy wyludzali od niego pieniądze. Dla tego też, iż nie szanował zdrowia, umarł w dość rychłym wieku, gdyż liczył przy zgonie 52 lata, gdy tymczasem ojciec jego 30 roku dożył. Mimo swe wady należy Zygmunt August do największych i najlepszych królów polskich i pamiętka też jego nigdy w naszym narodzie nie wygaśnie, lecz owszem coraz więcej wznagać się będzie. Na nim wygasł ród Jagiellonów po mieczu. Rządzili Jagiellonowie, t. j. królowie polscy od Władysława Jagiełły pochodzący, 185 lat w Polsce, za ich czasów była Polska potężną i szczęśliwą, jak nigdy potem. Piastowie, którzy 500 lat w Polsce rządzili, rzec można, Polskę wypastowali, utworzyli, a Jagiellonowie uczynili Polskę wielką i kwitnącą.

Dwa lata trwało po zgonie Zygmunta bezkrólowie. Obrano nakoniec r. 1574 Henryka Walezygo, Francuza, królem polskim. Dotąd byli królowie polscy dziedziczni i dziedziczno-obieralni.

Syn po ojcu był zwykle następcą, a naród zezwalał lub potwierdzał takie następstwo. Zmieniło się to od Zygmunta Augusta, gdyż odtąd szlachta polska po śmierci każdego króla nowego sobie pana obierała. Było to piękne prawo dla szlachty, ale zgubne dla kraju, gdyż przez to władza królewska podpadała, a często przychodziło do niezgody, kłótni, a nawet do wojny, gdyż trudno bardzo, aby takie mnóstwo narodu na jedno się zgodziło. Obieralność królów jest też jedną z przyczyn upadku Polski.

Szlachta polska przed obiorami czyli selekcją każdego króla uchwalala prawa i zobowiązania, które król miał zachowywać. Te prawa zwały się po łacinie *pacta conventa*, a każdy nowoobрани król był zniewolony zaprzysiądz, a gdyby ich nie dotrzymał, wtedy naród nie był obowiązany do posłuszeństwa.

Henryk Walezy tylko kilka miesięcy w Polsce panował, gdyż skoro się dowiedział o śmierci brata w Francji, uszedł tajemnie z Polski, aby tron francuski objąć.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zwyciężony dyabeł.

(Prawdliwe zdarzenie.)

Znam pewną małą dziewczynkę. Matka jej urządziła raz ucztę, wieczorek dla gości. Gdy wszystko już było gotowe, stoły już nakryte, przykręciła matka w pokoju światło i usiadła w ciemnym kątku, chcąc sobie przed zjawieniem się gości na chwilę wypocząć.

Dziatki wszystkie już były w sypialni, w łóżeczkach i powinne już były spać.

Tem bardziej zdziwiła się matka, gdy drzwi prowadzące do sypialni powoli się otworzyły, przez które siedmioletnia córeczka w nocnej koszulce do pokoju przygotowanego dla gości się wśliznęła, przodem ze stołu porwała czerwone jabłko i znowu tak prędko i tak bezgłośnie, jak przysła do sypialni ze swoją zdobyczą wróciła. Matki spoczywającej w kącie pokoju dziecię nie spostrzegło. — Ona zaś nader się zasmuciła nad tym występkiem, nad tym początkiem grzesznej drogi swojej córeczki. Odrzuć też szukała pomocy dla dziecięcia swego tam, gdzie jej dobra matka w takim wypadku przedewszystkiem szuka. Modliła się do Zbawiciela: „Panie Jezu, obacz owieczkę Twoją błądzącą i nawróć ją do siebie. Wyrwij dziecię moje z grzechu. Włóż w serce jego poznanie dobre, żeby grzech swój Tobie i mnie wyznało. Wszak ono, Panie, Twojem jest

dziecięciem, bo w Ciebie ochrzczone i Tobie poleczone, więc Ty je nie opuścisz”.

Ledwo modlitwy swojej wiernej skończyła, gdy znowu drzwi do sypialni zwołna i cicho się otworzyły, a dziecię zaplionię wróciło z jabłkiem i prędko je z powrotem na stół położyło, szepcząc drżącym głosem: „Przekonałeś się szatanie, że nie ty mi rozkazujesz, ale Zbawiciel, któremu ja nałóżę, a który się brzydzi kradzieżą”.

A matka? Jej radość i szczęście były nad wyraz wielkie i gorąco Zbawicielowi za wianą pomoc podziękowała. — Potem zapalono znowu światła i goście oczekiwanie schodzili się.

W następny dzień matka z córeczką długo i powzięnie z sobą rozmawiała. Z pomocą wernego Zbawiciela już nigdy szatan nie opanuje serca tego dziecięcia, które tak widocznie doznało obrony Bożej w godzinie pokuszenia.

Pierwsze kłamstwo.

„Ja tego nie uczyniłam!” broni się mała Zosia przed ojcem, który przecież jest przekonany, że Zosia popełniła to, o co ją teraz pyta.

Nareszcie puszcza ojciec Zosią na wolność temi słowami: „Więc dobrze, Zosiu! Możesz odejść spokojnie do twoich zabawek, kiedy twierdzisz, że jesteś niewinną. Bóg słyszał, że jesteś niewinną, że nie uczyniłaś tego!”

„Bóg słyszał, że jestem niewinną? Mogę spokojnie odejść? Bóg słyszał? — Ciągłe brzmią Zosi te poważne słowa w uszach i w sumieniu. I choć ma od ojca pozwolenie odejść do zabawek, mogłaby swobodnie igrac, to przecież popsuli się jej radość i wesele, Zosia sama sobie je zatrula brzydkim kłamstwem-grzechem. Zosiu, Zosiu! ty nie możesz, ty nie śmiesz odejść spokojnie! Bo nie ma pięknej swobody i miłej zabawki dla dziecięcia, które ojcu skłamało. Zosiu, Zosiu! Bóg słyszał!”

Wróć, Zosiu, do ojca i wyznaaj prawdę — i potem wróć do ciebie znowu spokój i swoboda.

Nie daruję ja tobie!

Kura stanęła kaczce na nogę. Nie zrobiła tak umyślnie, ani też kaczka nie miała przez to wielkiego bólu; mimo to zawołała: „Nie daruję ja tobie!” i rozszerzywszy skrzydła pędziła za

kurą. W drodze uderzyła gęs stojącą w pobliżu na jednej nodze.

„Nie daruję ja tobie!” krzyknęła gęś i puściła się w pogoń za kaczką. Przytem skubnęła kota leżącego w słońcu.

„Nie daruję ja tobie!” miaknął rozgniewany kot i skoczył za gęsą. Ale trafiwszy na owcę, wydarł jej pazurami mały strzępek wełny.

„Nie daruję ja tobie!” beknęła owca i dalej — za kotem. Na nieszczęście trąciła psa siedzącego na drodze.

„Nie daruję ja tobie!” szczeknął pies i z całą zawziętością skoczył za owcą, ale uderzył o krowę skubiącą murawę.

„Nie daruję ja tobie!” zabuczała krowa i zmierzała rogami za psem. W drodze jednak zadrasnęła konia stojącego pod drzewem.

„Nie daruję ja tobie!” pomyślał koń i pokazał krowie zbrojne podkową kopyto.

Podwórze spokojne jeszcze przed chwilą zadziało nagle ogromną wrzawą. Koń uderzył na krowę, krowa na psa, pies na owcę, owca na kota, kot na gęs, gęś na kaczkę, kaczka na kurę. Wszystko tylko z tego powodu, że kura przypadkiem bez złego zamiaru wstąpiła kaczce na nogę.

„A tu co znówu!” krzyknął gospodarz, spsstrzeższy bójkę. Kurę pozostawił na podwórzu, ale kaczkę napędził do stawu, gęs na drogę, kota do stodoły, owcę do stada, psa do budy, krowę do stajni, konia zaprzągi do wozu. Wszystkie zaś z wyjątkiem kury musiały opuścić podwórze, gdzie tak chętnie przebywały i wszystkie przyszyły o radość — dlaczego?

Nauka w tem i dla dziatek.

Bajka indyjska.

Stara sowa, nazwana „Mądrością”, udzielała nauki wszystkim zwierzętom. Po kilku dniach przystąpiła do egzaminu, aby się dowiedzieć o postępach swych uczniów.

Pierwsze jej pytanie brzmiało: Dlaczego świeci księżyc na niebie?

Słowiak odpowiedział: „Abym w jego świetle mógł wyśpiewywać moje cudne melodie”.

Lilie rzekły: Abyśmy nasze kwiaty mogły rozwinąć i w promieniach księżyca się pokrzepić.

Zając sądził, że księżyc po to świeci, by lepiej mógł znaleźć drogę do konieczyny.

Pies twierdził: „Abym mógł złapać złodziei, zakradających się koło domu”.

Robaczek świętojański wołał: „Księżyc świeci jedynie z zazdrości, że ja także rzucam światło”.

„Abym znalazł drogę do kurnika” — brzmiała odpowiedź lisa.

A „Mądrość” na to: „Dosyć tego. Tylko jeden księżyc świeci na niebie, a jednak każdy sądzi, że światło jego wyłącznie jemu służy”.

Każdy myśli tylko o sobie, czyli jak mówi przysłowie polskie:

„Każdy sobie Rzępkę skrobie”.

Przypowiadka o pijaku leśnym.

Jeden pan miał leśnego. Dobry i to był człowiek tylko to nieszczęście, że się upijał.

Razu jednego zawołał, go pan do siebie i powiada:

— Jesteś mi dobrym, więc należy ci się nagroda; oto masz tu 3 złote, jedź na misę i pozostań tam, dopóki ci się spodoba.

Ale leśny słyszał, że tam na misy księża dużo przyczynają o gorzałkę, a tu jak się obejść bez niej dwa albo trzy dni. Więc co robić? Wziął sobie w butelkę gorzałki i poszedł na misę. Trafił akurat na kazanie o gorzałce. Ksiądz wyciągnął rękę, jakby ku temu leśnemu i mówi:

— Nie dość tobie, człowiecze grzeszny, że w karczmie i w domu czynisz obrazę Bogu gorzałką, że odpusty zamieniasz w rozpustę, ale gotowys się wbrać nawet na misę z gorzałką.

Te słowa oburzyły leśnego i pomyślał sobie: — Ktoby onemu księdzu powiedział, że w jego kieszeni znajduje się gorzałka.

Ale ciekawy był słuchać kazania dalej.

Obszedł dokoła kościół, bo ambona była pod gołem niebem i słucha dalej kazania. Zaledwie ksiądz powiedział kilka słów, zwraca się znów w tę stronę po której stał leśny, i jakby na niego spoglądając i palcem wskazując, mówi o Kainie, co się błakał po świecie, a nigdzie nie znalazł spokoju sumienia. — Tak — mówi misyonarz — i pijanica grzesznik. Choćby się z miejsca na miejsce przenosił, choćby na koniec świata poszedł, zawsze będzie niespokojny.

Aż gorąco przeszło po owym leśnym i już sobie pomyślał, co to za ksiądz, co wie, jak tu przyszedłem.

Ale wziął się jeszcze na inny sposób. Stało na cmentarzu drzewo; za to drzewo zachylił się i słuchał dalej kazania.

— Teraz — pomyślał sobie — już mnie przecie nie zobaczy.

Ale zaledwie tak pomyślał, aż tu ksiądz zaczyna o Adamie, jak to Adam za marne jabłuszko stracił raj. Tak samo — powiada — i pijak: za kieliszek gorzałki traci niebo, a jak Adam, gdy zgrzeszył, począł się bać i kryć się za krzaki i drzewa, tak i pijak wstydzi się sam siebie, ale daremna rzecz: choć się od oka ludzkiego zakryje, Bóg i za drzewem widzi.

Zląk się leśny na takie słowa, wyszedł na drogę i butelkę z gorzałką roztrzaskał; słuchał potem do końca misyi, wypowiadał się i pić przestał.

Dobry syn.

Bajka z przed lat tysiąca.

Napisał Władysław Belza.

(Ciąg dalszy.)

Domyślił się wnet Janek, o co chodzi! prysnął kilka kropili ożywczej wody i wnet niekształtne głazy zamieniać się zaczęły w szeregi rycerzy, mieszczan i kmieci, którzy to niegdyś przed wiekami dążyli równie jak on do zaczarowanego źródła, a nie osiągnawszy celu, ulegli piekielnym czarom i zostali zaklęci w kamienie.

Dlaczegoż więc tylko udało się Jankowi? czemuż i drudzy nie byli równie jak on szczęśliwi? Oto z tej przyczyny, że tamtych prowadził tu najczęściej własny interes albo niewczesne junactwo. Ten pragnął wody wyłącznie dla siebie, ów chciał jej na sprzedaż dla innych, a trzeci jeszcze podążał tutaj dla zdobycia sławy, dla okazania niebywałej odwagi. Jeden tylko Janek niczego dla siebie nie pożądał. Z zaparciem się i pokorą, z miłością w sercu, szedł on po wodę życia dla ukochanej matki i Bóg mu też błogosławił w jego przedsięwzięciu.

Tysiące owych pielgrzymów powróconych do życia przez Janka, obstało go tłumnie i gwarnie dokoła. Wszysey oni wielcy i mali, rycerze i kmiecie, kłaniali mu się do kolan, dziękowali mu i błogosławili co niemiara, a potem każdy z nich puścił się w swoją drogę.

Janek tymczasem prosto podążał ku domowi.

X.

Powrót do domu i wskrzeszenie matki. — Ostatnia nagroda poczętego syna.

Nie będę opowiadał szczegółowo o powro-

tnej podróży Janka, bo musiałbym chyba opisywać ponownie też same okolice, przez które już raz Janek przechodził. Tyle tylko powiem, że żadna już przygoda nie spotkała naszego wędrowca; że dzień po dniu coraz to bardziej zbliżał się do celu, zostawiając daleko za sobą przebyte góry, lasy i wody.

Z głowy jego nieustępowała nigdy myśl o ukochanej matce. Co ona też porabia? czy aby jej lepiej? czy ma należytą opiekę? — oto pytania, które sobie zadawał Janek i które skrócały mu długodniową wędrówkę. Chciałby on na skrzydłach wiatru popędzić do matki, — przyspieszał więc kroków, ciesząc się w duszy, z jaką to radością powita go staruszka, jak mu się we wsi dziwić będą: aż ci jednego dnia o samem południu, zawiadniała mu zdaleka rodzinna wioska.

Serce żywiej uderzyło w piersiach Jankowi, twarz cała pokraśniała z radości, lzy słodkie potoczyły się po jagodach; wyciągnął przed siebie ręce, jakby to niebo rodzinne, to powietrze ojczyste, te lany i niwy, chatę własną i wioskę całą, chciał zamknąć w objęciu swoich ramion, na zawsze! na zawsze!

Tyle świata przeszedł, na tyle napatrzył się dziwów, a przecież ta uboga wioska w dolinie, te chude kłosa żyta na zagonach: mu się wydawały i piękniejsze, droższe od wszystkich zamorskich cudowności.

Och! bo rodzinne miejsce ma dziwny powab dla serca ludzkiego. Daj człowiekowi skarbowo co niemiara, posadź go w marmurowym pałacu, ale oderwij go od stron ojczystych, — a on ci tęsknić będzie do ubogiej lepianki, bo w niej stała jego kolebka, bo tam go matka niańczyła na rękach, bo do niej wreszcie wiążą się wszystkie najdroższe wspomnienia jego młodości.

Lzy jak groch spadały Jankowi po twarzy; — zbierał wszystkie siły, aby co rychlej ujrzeć ubóstwianą matkę i odpocząć wreszcie po tylu trudach we własnej zagrodzie.

Już tylko kilka staj oddzielało go od wioski... już tylko kilkadziesiąt kroków... i oto znalazł się na głównej ulicy, po obu stronach drogi wysadzanej odwiecznymi lipami.

Dziwiło niezmiernie Janka, że nikt go jakoś z twarzy nie poznawał; ludzie mijali go obojętnie; psy nawet, niegdyś tak dobrze znajome Jankowi, opadły go warcząc i naszczekując głośno. Dziwił się Janek, kręcił głową, ale nie chciał dociekać przyczyny, bo spieszo mu było do matki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)